

KAROLINA FAMULSKA-CIESIELSKA

Lublin

## Stary notes

Co dzień umierają teraz ci co kiedyś zmartwychwstali  
Umierają zwyczajnie jak wszyscy ze starości  
na wylew na zawał na cukier na gorycz na raka

I. Amiel: \*\*\*<sup>1</sup>

Znalazłam ostatnio swój stary notes z adresami i numerami telefonów. Właściwie nie taki stary – z 2004 roku. Są tam numery: Miriam Akavii, Anny Ćwiałkowskiej, Idy Fink, Romana Fristera, Jerzego Hermana, Mieczysława Rolnickiego. I innych. Przeglądaniu tego notesu towarzyszy dziwne uczucie. Spotykałam się z wymienionymi adresatami w 2004, w 2005 roku. Byli starszymi ludźmi, ale żywiołowymi, mieli plany, pisali, cieszyli się karierami swoich dzieci, sukcesami wnuków. Potem, kiedy rozmawiałam z nimi w 2011, 2012 roku, ogromnie przygnębiające wrażenie zrobiło na mnie to, jak bardzo czas przygniótł ich przez tych kilka kolejnych lat. Obecnie tak niewielu z nich pozostało.

Piszący po polsku w Izraelu. W pewnym sensie pamiątka po przedwojennym świecie polsko-żydowskim. Pisarze w gruncie rzeczy niszowi. Niewiele wśród nich wybitnych indywidualności artystycznych, choć i takie się zdarzały. Samo ich istnienie było w pewnym sensie aktem twórczym, do którego dodali jeszcze pisanie. Miałam zaszczyt poznać wielu z nich – czasami z zaskakującej strony, innej niż ta, jaką początkowo starali się mi pokazać. Wiąże się z tym dużo wzruszających, czasem zabawnych, a czasem smutnych sytuacji.

Często wraca do mnie obraz Miriam Akavii (1927–2015). Najpierw z dumą prezentowała się jako uznana pisarka hebrajska i honorowa obywatelka Tel Awiwu. Pokazywała swoje książki przetłumaczone na różne języki, zdjęcia pięknych córek i wnucząt. A potem – opowiadając o swojej zamordowanej rodzinie – przywołała małych kuzynów, których powierzono jej opiece w getcie krakowskim, a których Niemcy wyrwali z jej rąk i zabrali na śmierć. I znowu

---

<sup>1</sup> I. AMIEL: inc. \*\*\**Co dzień umierają*. W: TAŻ: *Nie zdążyłam*. Łódź 1998, s. 30.

nie mogła sobie darować, że nie zdołała ich ocalić. Oparła się plecami o futrynę pomiędzy kuchnią a pokojem, a potem osunęła się po tej futrynie, usiadła na progu i płakała. I znów była tamtą bezsilną nastolatką.

Bardzo źle byłoby, gdyby zapomnieniu uległa postać Jerzego Hermana (1932–2008) – zdolnego dziennikarza i poety o bajkowej wyobraźni oraz aparycji pana Zagłoby. Żyda-chrześcijanina, ochrzczonego w dzieciństwie. Jego ojciec przyjął chrzest jako młody człowiek, by poślubić spolonizowaną Niemkę, protestantkę. Cała rodzina przeszła wkrótce na katolicyzm, co oczywiście po wybuchu wojny nie uchroniło jej przed niemieckimi definicjami żydowskości. Herman przeżył „na aryjskich papierach” – najpierw w Krakowie, a następnie w Budapeszcie. Także po wojnie zdarzało się, że „przypominano” mu, kim jest. Choć on sam nie był tego nigdy właściwie – w obliczu swojej złożonej tożsamości – jednoznacznie pewien. Oprócz tego, że zawsze czuł się stuprocentowym krakowianinem. Zdecydował się jednak na wyjazd do Izraela w 1957 roku. Tam ożenił się z Polką o trudnej i zawikłanej historii. Imał się różnych zajęć. Był redaktorem pisma „Po Prostu w Izraelu” (1959). Przez lata pracował fizycznie. Przyjaźnił się z Markiem Hłaską.

Poznałam Hermana w 2004 roku, wkrótce po śmierci jego żony. Mieszkał w Tel Awiwie, w Alei Mędrców Izraela, który to adres autoironicznie komentował jako najwłaściwszy dla siebie. Wynajmował pokój z aneksem kuchennym, w suterenie. Kiedy przyjechałam do niego z dyktafonem, pochwalił się właścicielce domu, że oto odwiedziła go dziennikarka Polskiego Radia. Sam w młodości pracował w rozgłośni krakowskiej i taka afiliacja wydawała mu się znacznie bardziej prestiżowa i rozumiała niż prawda o moim statusie doktorantki. Z dumą pokazywał swoje dawne artykuły z „Po Prostu w Izraelu”, swoje wiersze, bajki, fraszki. Marzył, by jeden z wierszy opublikować w „Tygodniku Powszechnym”.

Zadzwoił w mojej obecności do starszej siostry, która pozostała w Krakowie i była praktykującą katoliczką. Rodzeństwo doskonale się rozumiało, choć bardzo różniło. Poczęstował mnie herbatą i kanapką z kiełbasą krakowską. Żartował, że suterena czy nie suterena, kiełbasa krakowska jest, czyli jednak źle mu się nie powodzi.

Niedługo później zamieszkał w domu starców. Pozostawał pogodny i wesoły. Niestety z powodu cukrzycy amputowano mu stopy. Wkrótce zmarł. Został pochowany na katolickim cmentarzu w Jaffie.

Każde spotkanie z pisarzem polsko-izraelskim było dla mnie ważnym doświadczeniem. Każde odkrywało nieco inną rzeczywistość, nieco inne przeżywanie przez nich polsko-żydowskiego dualizmu. Nie o wszystkich mogę teraz pisać. W tym miejscu chciałabym przywołać przede wszystkim postać Mieczysława Rolnickiego (1925–2016).

Spokojny głos, niby lekko drążący, starczy, ale jednocześnie pewny i silny:

– Dzień dobry, mówi Mietek Rolnicki z Beer Szewy.

Życzenia na Wielkanoc 2016. Dzwonił co roku z życzeniami z okazji Wielkanocy, czasami też z okazji Bożego Narodzenia. Pytał, co słyhać, co u mojej matki, z którą rozmawiał kiedyś dwa razy przez telefon, jak moja córka, jak nam się żyje... W 2015 roku jeszcze pytał, czy wybieram się do Izraela. Mówiłam, że mam nadzieję, że może się uda. „Czyli czekać?” – zapytał z charakterystyczną dla siebie ironią. Jakby pytał, czy nie umierać. Było to urocze i zabawne. Mówiłam, że oczywiście czekać, że koniecznie musimy się kolejny raz spotkać i pogawędzić. Nie udało mi się jednak wtedy pojechać do Izraela. W 2016 roku już nie pytał, czy się wybieram.

To była ostatnia rozmowa. Nie zorientowałam się, że zadzwonił, żeby się pożegnać, ponieważ już wiedział, że odchodzi. W kwietniu 2016 roku, w kilka dni po dziewięćdziesiątych pierwszych urodzinach, odebrał sobie życie.

Urodził się 18 kwietnia 1925 roku we Lwowie jako Mieczysław Rolsztajn. Jego ojciec, Henryk, prowadził hurtownię ceraty. Matka, Blanka, zajmowała się domem i dziećmi – Mietkiem i starszą o dwa lata Hanką – w czym pomagała jej służąca. Rodzina była zasymilowana i niezbyt religijna. O koszerność kuchni dbano tylko przy okazji odwiedzin dziadka ze strony matki, który przyjeżdżał z Piotrkowa.

Pierwsze dwa lata drugiej wojny światowej oznaczały dla rodziny Rolsztajnow życie pod okupacją sowiecką. Było ciężko i biednie. Doświadczali też absurdów ideologii komunistycznej. Jednak prawdziwy dramat rozpoczął się dla nich w czerwcu 1941 roku wraz z wybuchem wojny sowiecko-niemieckiej. Ojciec zginął już w pierwszych jej dniach, a rodzina nie poznała nawet okoliczności jego śmierci. Później matka udała się do rodzinnego Piotrkowa, do getta i podzieliła los większości jego mieszkańców, a Mieczysław wraz z siostrą i szwagrem postanowili zaważać o życie „na aryjskich papierach” w Warszawie.

Nazwisko Rolsztajn na jego autentycznej legitymacji szkolnej przerobiono na Rolnicki. Później na podstawie kupionej metryki chrztu, mającej pochodzić z parafii w Buczaczu, której dokumentacja spłonęła w czasie działań wojennych, udało mu się uzyskać autentyczną kenkartę na to nowe nazwisko – pozostał przy nim już do końca życia. „Na aryjskich papierach” pracował jako goniec w warsztacie samochodowym. Zdarzyło mu się nawet na polecenie swojego szefa przewozić dwa małe, kwiczące w worku prosiaki – najpierw pociągiem ze wsi, a następnie zatłoczonym warszawskim tramwajem. Wydawało się to skrajnie ryzykowne, ale w pewnym sensie prosiaki stały się głośnym potwierdzeniem jego „aryjskości”. Angażował się też w działania przeciw Niemcom prowadzone przez Polską Armię Ludową. O życie grał wielokrotnie brawurowo. Doskonale zdawał sobie przy tym sprawę, że żadna strategia nie gwarantowała przetrwania,

ponieważ czynników śmiertelnego ryzyka było wręcz nieskończenie wiele. Jemu się jednak udało, jako jednemu z rodziny.

Swoje wspomnienia z lat 1939–1944 Rolnicki zatytułował *Krzak gorejący...* (Jeruzolima–Lublin 1999). Tytuł nawiązuje do obrazu biblijnego. Można by pomyśleć, że autor dostrzegł nadprzyrodzone działanie Boga w historii swojego ocalenia. W takim kierunku szła zresztą interpretacja autora wstępu do tego tomu. Jednak jest to formuła lekko ironiczna, a po części po prostu rzeczowa – tak jak rzeczowe i wyważone były przemyślenia oraz interpretacje Rolnickiego.

Tytułowy krzak nagle stanął w płomieniach w pobliżu trojga młodych Żydów czekających w ustronnym miejscu na spotkanie z człowiekiem mającym umożliwić im wstąpienie do partyzantki. Ten niespodziewany i w tamtej sytuacji kompletnie niezrozumiały fakt wprawił ich w przerażenie i zmusił do ucieczki. Już nigdy nie spotkali łącznika z lasu. Oprócz Rolnickiego na wstąpienie do oddziału liczyli jego siostra oraz szwagier. Dla młodej pary małżeńskiej była to najbardziej realna szansa na ocalenie po tym, jak zostali ograbieni przez szmalcowników. Za sprawą „gorejącego krzewu” nie udało się wykorzystać tej szansy i pozbawieni pieniędzy młodzi ludzie wkrótce zginęli. Przeżył jedynie Mietek.

To tylko jeden z epizodów w długim ciągu wojennych perypetii, które jednych prowadziły do ocalenia, a innych do śmierci. Rolnicki widział swoje istnienie jako dzieło przypadku – właściwie od samego początku, kiedy urodził się jako trzecie dziecko w rodzinie, która planowała tylko dwójkę dzieci. Przyszedł na świat w pewnym sensie dlatego, że jego starszy brat zmarł jako niemowlę.

Po wojnie Rolnicki mieszkał w Warszawie. W 1948 roku zdał maturę. Ożenił się. Jego żona, Wanda, nie była Żydówką. Na świat przyszedł ich jedyny syn. Chłopiec zmagał się z nieuleczalną chorobą, która po raz pierwszy dała o sobie znać, gdy miał kilka lat. Rodzice intensywnie szukali dla niego ratunku, jednak bezskutecznie. Zmarł jako młody człowiek, już w Izraelu.

Na wyjazd do Izraela naciskała pani Wanda. Rodzina wyjechała w 1957 roku. Osiedli w Beer Szewie. Mieczysław aż do emerytury pracował w fabryce. Nie dążył do zrobienia kariery w nowej ojczyźnie.

Pisanie było jego hobby. Za swoją mentorkę uważał Łucję Gliksman (1913–2002). Jego twórczość oscylowała głównie wokół ścisłego związku między trzema fenomenami: życiem, śmiercią oraz przypadkiem. Jako kontrpunkt dla przypadku powraca w jego tekstach motyw Boga. Trudno pozbyć się wrażenia, że pisarz, niejednokrotnie deklarujący niewiarę i niereligijność, nie mógł jednak przejść do porządku dziennego nad kwestią istnienia lub nieistnienia Boga, a także nad rolą Stwórcy w historii. Zachowywał dystans wobec ostatecznych prawd, wyrażony chociażby w następującym aforyzmie: „Przekonani, że przypadek rządzi naszym życiem, mają na potwierdzenie tego tyle samo ważkich argumentów, co twierdzący, że tę rolę spełnia przeznaczenie”<sup>2</sup>.

<sup>2</sup> M. ROLNICKI: *99 aforyzmów w dwóch językach*. Tel Awiw 2004, s. 28.

Opublikował kilka tomików aforyzmów i fraszek. Pisał też krótkie opowiadania, które właściwie można by określić mianem opowiadań filozoficznych (*Zmyslenia*. Lublin 2005). Wydał także ciekawą powieść o charakterze antyutopii pt. *Bezplodna era* (Lublin 2002), opisującą szybką degenerację ludzkości, która z niewyjaśnionych przyczyn nagle przestała się rozmnażać. Obrazy społeczeństwa pogrążającego się najpierw w totalitaryzmie, a następnie w chaosie pod wieloma względami kojarzyć się mogą z opisami żydowskich doświadczeń w czasie Zagłady, choć nie można uznać tego utworu za prostą alegorię. Powieść ta ma wymowę bardziej uniwersalnej metafory.

Myślę, że w czasie ostatnich ożywionych sporów o pamięć Zagłady warto wrócić do tekstów Rolnickiego. Jego przemyślenia, bardzo wyważone i spokojne, mogłyby do obecnych dyskusji wiele wnieść. W *Krzaku gorejącym...*, w rozdziale zatytułowanym *Pomoc przez zaniechanie*, pisał między innymi:

Dla wydania Żyda wystarczył donos, a nawet wskazujący palec i słowo „Jude”. Było to dużo łatwiejsze aniżeli udzielanie pomocy ściganym. Czynienie zła wymaga zawsze mniejszego wysiłku niż świadczenie dobra. Dlatego tak niewielu ludzi mogło zniszczyć tak wielu, a tak wielu mogło uratować tak niewielu<sup>3</sup>.

Zacytowany fragment to wyraz konsekwentnej postawy prezentowanej przez tego autora, postawy głębokiego, spokojnego namysłu.

Żałuję, że Mieczysław Rolnicki nie może już zabrać głosu. Żałuję też, że zostały rzeczy, o które nie zdążyłam go zapytać.

---

<sup>3</sup> M. ROLNICKI: *Krzak gorejący*. (Zapiski z lat 1939–44). Jerozolima–Lublin 1999, s. 94.